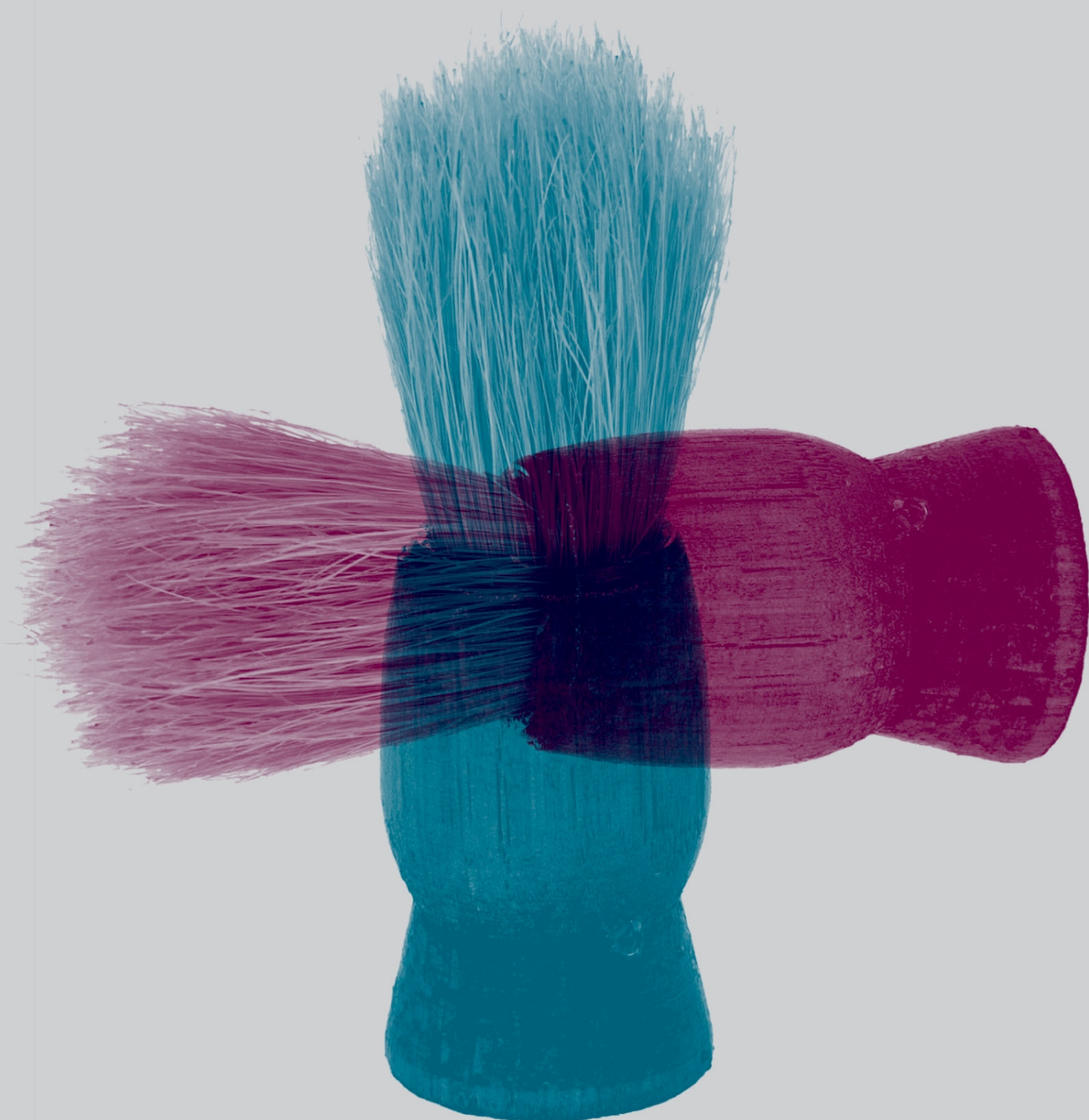


Tomasz
Dalasiński

Wiersze dla żywych



TOMASZ DALASIŃSKI

**W I E R S Z E D L A
Ż Y W Y C H**



WYDAWNICTWOJ / WROCŁAW 2023

Posłanie

W domu jest pusto. Nie ma komu zasnąć
ani komu się zbudzić, komu wypić kawy,
komu przejrzeć gazety, z kim pograć w tysiąca.

Cisza siada na wszystkich sprzętach i przedmiotach,
szafkach, telewizorze, cukiernicze, szklankach.

Cisza siada na wszystkich sprzętach i przedmiotach

i tylko pies w posłaniu, drzemiący, lecz czujny,
podnosi łeb, gdy słyszy najlżejsze skrzypnięcie,
jakby był przekonany, że któreś z tych skrzypnięć

to będzie właśnie to.

Dresy

Tniemy z ojcem na opał rozbiórkowe drewno.

Zęby krajzegi są ostre i szumią złowieszczo.

To tylko mgnienie oka, chwila nieuwagi:

piła zahacza o mankiet ojcowej koszuli

i zamiast kawałka deski wciąga jego rękę,

różąc od przegubu dłoni prawie aż do łokcia.

Doskakuję do niego. Ściągam z siebie bluzę

od dresów z emblematem igrzysk dziewięć sześć

i ściskam nią krwawiącą, poszarpaną ranę,

która, tak wtedy myślę, wygląda jak świeże,

nieobrobione mięso krowy albo świni.

„Tylko nie gadaj matce, zaraz się zagoi” –

mówi ojciec, samemu w to chyba nie wierząc,

i zdrową ręką sięga do kieszeni spodni,

by wyciągnąć z niej westa i paczkę zapalek.

Pomagam mu odpalić. Patrzę, jak się zaciąga

i wypuszcza dym nosem, chwiejąc się na nogach.

Przez bluzę coraz mocniej przesącza się krew.

Przykre, tak wtedy myślę: to już się nie

spierze, i chyba nigdy więcej

nie włożę tych dresów.

Pety

Odwiedzam ojca w szpitalu. Ojciec, choć mu nie wolno,
puszcza w ustępie dymka,
tak żeby nikt nie zobaczył. Kiedy go przyłapuję, chowa kiepa
za plecy, a ja muszę udawać, że nagle oślepiłem.

Patrzę mu w oczy i kładę dłoń na jego ręce
akurat w chwili, kiedy próbuje ją podnieść,
bo wyobrażam sobie, że podnosi ją na mnie,
choć, po prawdzie, nigdy jej na mnie nie podniósł.

A on się tylko uśmiecha, nic przy tym nie mówiąc,
wrywa się z uścisku i gładzi mi głowę, zostawiając na włosach
zapach potów i potu. Ręka ojca
jest ciężka, tak ciężka, że nie umiem

utrzymać jej w jednej zwrotce; miażdży mi czaszkę i ciało
przygniata do ziemi. Kiedy stamtąd wychodzę, jestem
od niego mniejszy. Błede, styczniowe słońce
dopala się nade mną jak ostatni szlug.

Siedem i pół

Idziemy na spacer z Olkiem, lat siedem i pół.

W Parku Bydgoskim, przy starym
mostku nad Martówką,

dwa gołębie grzywacze, wrzeszcząc na całe miasto,
szamoczą się w powietrzu, jak gdyby
były w klatce, a przecież

latają tu wolno. Patrzę na to i nie wiem,
co mam o tym myśleć. „To niebo

jest dla nich klatką” – widząc moje zdziwienie,
podpowiada Olek, lat siedem i pół.

Zero jeden

Ostatnia minuta meczu. Mam piłkę przy nodze. Oddaję skrzydłowemu, sprytnym, niedługim lobem mijam stoperów rywala, a potem balansem ciała roluję golkipera, dryblasza metr osiemdziesiąt o łapach szerokich jak główki rakietek do squasha (choć wtedy jeszcze wcale nie wiem, co to squash). Otrzymuję soczyste, piękne podanie zwrotne. Ustawiam się do strzału na opuszczoną bramkę, przykładam do futbolówki stopę w korkotrampku, dla lepszego efektu uderzam podcinką, która jednak, ku rozpaczy nielicznej, lecz przecież stojącej po najwłaściwszej stronie (dziś gramy u siebie) widowni okazuje się nieco zbyt mocna, i piłka przelatuje tuż nad poprzeczką. Sędzia, były wuefista, trzykrotnie używa gwizdka, trzeci gwizd przeciągając ponad ludzką miarę, i kończy mecz sromotną, haniebną porażką mojej drużyny szkolnej. Mam dziesięć, może jedenaście lat, i cały świat, skurczony do tego boiska, do tej bramki, tej piłki i tego kopnięcia, właśnie się dla mnie zamyka, a ja, przynajmniej w jakiejś części, zostaję w ciszy trybun na tym polu karnym z moim fatalnym, nieudanym strzałem, z moim feralnym, nieudolnym sobą już chyba na zawsze.



WYDAW
NICTWO

WWW.WYDAWNICTWOJ.PL

cena 30 zł



Patronem medialnym
jest Radio Wrocław Kultura

